

# Kronika tygodniowa.

Cały świat tak się teraz rozpolitykował, że kronikarz *Nowości ilustrowanych* powinien zrobić wyjątek, a nie mogąc, choć czas odpowiedni, pisać o węzłach morskich i im podobnych kanikularnych kuryozach, zajmie się bodaj wakacyjnymi kłopotami, choć nie jest wykluczonem, że tu i ówdzie poruszy i polityczną strunę, gdyż dziś wszystko z polityką jest jak najśilniej związane. O węzłach morskich ani słycho, jeśli nawet kiedykolwiek istniały, dały drapaka ze strachu przed łodziami podwodnymi, gdzie pieprz rośnie, bo przyzua chyba każdy, że to mniejsza przyjemność zostać ugodzonym w żywot torpedą lub natknąć na minę, zostać rozerwanym na kawałki i obudzić się na dnie morza nieboszczykiem. Tego nawet węże morskie nie lubią.

Rozmaite są przecież gusta i guściki. Węże morskie nie lubią tamtego, ja nie lubię znów wakacji, gdyż rok rocznie w tym okresie zaczyna mi moja rodzina suszyć głowę, iż należałoby wyjechać na świeże powietrze, by nabrać nowych sił i odrestaurować się po wojeunych kłopotach. Projekt to bardzo piękny, ale też i bardzo trudny do wykonania, zwłaszcza dla kronikarza, który nie może o sobie powiedzieć, iż „słodko jest być dostawcą dla ojczyzny“. Chcąc gdzieś wyjechać, trzeba mieć przede wszystkim pieniądze, a o nie dziś bardzo trudno, kredyt zaś, nawet na „czarnej giełdzie“, z powodu dalszego trwania moratorium, spi wciąż „snem nieprzespanym“, jeśli wolno się tak poetycznie wyrazić. Nawet blankietów wekslowych nie można dostać w trafikach, na słowo zaś nikt nie chce pożyczyć.

— Słowo pana dobrodzieja jest dla mnie bardzo cennem i dałbym na nie, nie wiem co, nawet więcej, niż mam w swym majątku, ale zawsze weksel pewniejszy! — mawiał do mnie ongiś jeden z bankierów, z którym przed wojną, gdy konjunktury finansowe były pomyślniejsze, pozostawałem w stałym kontakcie.

Kwestye finansowe więc, połączone z wyprawieniem rodziny na willegiaturę przedstawiają się bardzo czarno, zupełnie jednak tak samo, jak wybór miejsca, dokąd się udać, by być oddalonym od miejskiego gwaru, a przecież móź bodaj jako tako komunikować się z resztą cywilizowanego świata, co zaś najważniejsze by tam z głodu nie umrzeć, gdyż na pierwszym planie powinno się mieć zawsze aprowizację, już choćby z tego powodu, iż zaczyna się ona na „a“, choć służy „żołądkowi“, zajmującemu ostatni rozdział w słownikach i encyklopediach.

A władze nasze właśnie ową aprowizacją zabili letnikom nielada klina w głowę, gdyż oświadczają, iż o tyle tylko wydawać będą pozwolenia na osiedlenie się w letniskach i uzdrowiskach, o ile odnośny osobnik wykaże się świadectwem lekarskim, że tego koniecznie potrzebuje, i, co ważniejsze, zapasami, które mu nie pozwolą zginąć z głodu. Zapasy więc trzeba przywieźć ze sobą, ale pytanie, jak to zrobić, skoro wywóz ich z Krakowa jest urzędowo zakazany. Oto problem, nad którym warto się zastanowić, wezwawszy przedtem na pomoc świętego Biurokracego, jeżdżącego, jak wiadomo, na siwym koniu (*Amtsschimmel*).

Co do pierwszej kwestyi, to jest świadectwa lekarskiego, nie nastreczyłoby mi to żadnych trudności, choć, dzięki Bogu, Weronisia moja pocziwa jest zdrową — niech mi Czytelniczki wybaczą może zbyt trywialne wyrażenie — jak koń i to przedwojenny. Być może, iż jej nie wystawiłby świadectwa żadanego ani lekarz, ani nawet weterynarz, (który, choć pacyenta nigdy o to nie pyta, przecież wie, co go boli), każdy natomiast eskulap z zupełnie czystym sumieniem może i powinien orzec, iż wyjazd jej z pociechami ze względu na moje zdrowie jest pożądanym, a nawet koniecznym.

Świadectwo więc, dajmy na to, już jest, brakuje natomiast funduszków na wyjazd, nie wie się, dokąd się ma udać i, co najważniejsze, co ze sobą zabrać, by władza nie zwróciła podróżników z drogi.

Przypuśćmy zresztą, że kwestyę finansową udało się jakoś tam ubić, zaciągając pożyczkę na weksel lub na słowo, lub też na rachunek spodziewanej nagrody z fundacyi dynamitowo-pokojowej Nobla, sęk, i to wielki i bardzo twardy, dokąd zwrócić swe kroki, skoro wszędzie, jeśli nie jest gorzej, to z pewnością i nie lepiej, niż w Krakowie, gdzie, przynajmniej od czasu do czasu można zjeść coś porządnego. Prawda, że powietrze w mieście nie jest tak czyste, jak, dajmy na to, na wsi, gdzieś w górskiej okolicy, ale też trzeba pamiętać o tem, że samem powietrzem nikt żyć nie może, a niema miejscowości w Galicyi, któraby nie mogła się tem poszczycić, iż miała miłego gościa, używającego się urzędowo rekwiizycją.

Ale niech nam się zdaje, że udało się usunąć i ten

sęk, proszę mi powiedzieć, w jaki sposób zastępować się do rozporządzenia jednej władzy i przywieźć ze sobą to, czego druga znów władza wywieźć z Krakowa nie pozwoli?... Na to pytanie odpowiedzieć już nie potrafię, wobec czego widzę, że muszę w bieżącym roku zrezygnować z owych kilku tygodni słomianego wdowieństwa, które były zawsze dla mnie czasem wypoczynku. A tak się tem cieszyłem, ale, broń Boże, nie z jakichś powodów, o których głośno nie możnaby mówić i to nawet w obecności domowego „Cerbera“...

Nie pozostaje więc nic innego, jak urządzenie spacerów do Parku Jordana, na Błonia, nad Rudawę, do Parku Krakowskiego, ostatecznie na plantacye, gdzie drzew dotąd jeszcze nie wycięto tylko z tego powodu, by gawrony miały na czem siadać, kogo zaś stać na to, może sobie urządzić tramwajem wycieczkę „na południe“, to jest na Podgórze, połączone wprawdzie z nami w jedną nierozzerwalną całość, uważające się przecież zawsze za położone w innym kraju koronnym, bo w Galicyi.

Gdyby o mnie samego chodziło, to nie wątpię bynajmniej, iż znalazłaby się szlachetna dusza (dusza, według gramatyki, musi być rodzaju żeńskiego!), która zaprosiłaby kronikarza na wakacyjne wywczasy, gdzieś daleko od zgiełku i gwaru wielkomiejskiego, kędy, na łonie przyrody, mógłby się rozkoszować przyjemnościami wiejskiego życia, kwaśnem mleczkiem, kurczakami (z sałatką), muchami i t. d... Niestety, oferty podobnej treści dotąd ani jednej nie otrzymałem, zresztą wątpię, czy otrzymałbym od władzy domowej pozwolenie na wyjazd, choćbym śluby wierności złożył jeszcze raz, nawet na piśmie, a z całym żywym inwentarzem, choćby o to i proszono (prosi się z grzeczności, ale się jest zadowolonym, jeżeli trafi się przypadkiem jakaś nieprzewidziana przeszkoda!) nie ośmieliłbym się nawet zjeżdżać na kark, bo wiem z własnego doświadczenia, jakie to przyjemne.

Zostają więc i ja w murach starego Krakowa przez czas wakacji, wobec czego P. T. Czytelnicy nie będą narażeni na przerwę w pojawianiu się kronik, co wobec znanej sprawności naszych poczt, łatwo mogłoby się zdarzyć, gdyby kronikarz znalazł się gdzieś daleko od „serca Polski“, gdzie, jak to powiadają, świat deskami zabity, a listy i gazety przychodzą „regularnie“ raz w tydzień, o ile naturalnie niema znowu jakiejś nadzwyczajnej przeszkody.

Zresztą może to nawet i lepiej, że kronikarz nie opuści murów miasta i trzymać będzie ciągle rękę na politycznym pulsie, czekając następcy, która, jak mówi pewien filozof, nigdy gorszą być nie może. A Pismo święte powiada: „Błogosławieni cierpliwi, albowiem będą mogli pojechać tramwajem“.

Kronikarz zaś, jak tego zresztą dawał i daje zawsze dowody, jest cierpliwym i czeka, ale nie na tramwaj, gdyż jako człowiek, ceniący wartość czasu, chadza z zasady piechotą, ale na koniec wojny i na rozwiązanie... różnych zawitych kwestyi politycznych, które coraz częściej wystawiają głowy na światło dzienne, niczem grzyby po deszczu.

Co do końca wojny to już pogodziłem się z myślą, iż musi się nań czekać do wiosny roku przyszłego, a to, aby się spełniły słowa świętego Jana, wypowiedziane w Apokalipsie.

Kilka miejsc pozwolę sobie przytoczyć.

Rozdział XI. wiersz 2.: „A sień, która jest przed kościołem, wyrzucić precz, a nie masz jej, albowiem dana jest poganinowi, a miasto święte deptać będą czterdzieści i dwa miesiące“.

Rozdział XII. wiersz 1.: „I widziałem bestyę, wychodzącą z morza, mającą siedm głów i rogów dziesięć, a na rogach jej dziesięć koron, a na głowach jej imiona bluźnierstwa“.

Rozdział XIII. wiersz 5.: „I dane jej są usta, mówiące wielkie rzeczy i bluźnierstwa i dano jej moc czynić czterdzieści i dwa miesiące“.

Jak z tych wyjątków jasno widać, panowanie na ziemi owej bestyi, która z morza wylazła, zupełnie jak Anglia, ma trwać czterdzieści i dwa miesiące, więc trzy i pół roku, że zaś przepowiednię ową można odnieść do dzisiejszych stosunków, wnoszę z tego, iż w tymże samym rozdziale trzynastym w wierszu 16. i 17. czytamy:

„I uczyni, że wszyscy, mali i wielcy, bogaci i ubodzy i wolni i niewolnicy mieli cechę na prawej ręce swojej, albo na czelech swoich.“

A iżby żaden nie mógł kupić ani sprzedać, jedno które ma cechę, albo imię bestyi, albo liczbę imienia jej“.

Słowa powyższe przypominają bardzo obecnie panujące stosunki, owe pozwolenia na pobyt w twierdzy, blaszane odznaki z numerami, karty na pobór różnych artykułów i t. d., nie też dziwnego, że ten i ów zaczyna wierzyć, iż święty Jan tę a nie inną wojnę miał na myśli, że więc końca jej nie możemy się spodziewać wcześniej, aż upłyną owe czterdzieści dwa miesiące... Daj Boże, by bodaj owa przepowiednia się

spełniła, skoro tyle innych już zawiodło. Przetrwaliśmy trzy lata, może znieśliśmy jeszcze i owe sześć miesięcy, jakie mamy jeszcze przed sobą.

Chyba... Chyba, że świat się tymczasem skończy, gdyż według przepowiedni (ale nie wiem doktora, czy hrabiego, bo raz tak pisze *Kurjerek*, a raz znowu tak Krasińskiego, od dnia dwudziestego czerwca wchodzimy w okres katastrofalnych trzęsień ziemi, który ma potrwać do dwudziestego lipca, łatwo więc stać się może, iż powłoka ziemska roztrzęsioną zostanie i śladu z niej nie będzie.

Dla tem większego „uspokojenia“ ludności czytamy, iż trzęsienia owe mają być o charakterze katastrofalnym. Że w tymże okresie wydarzą się i drobniejsze trzęsienia, rokuje się być nader prawdopodobnem. Znaczyć już teraz należy, że telegramy z dnia 21. b. m. notują silne wstrząśnienie ziemi w Sztuttgarcii, połączone z gwałtowną burzą (my mieliśmy szaloną wichurę w dniu 22. czerwca), równocześnie zaś trzęsienie ziemi nad jeziorem Bodeńskim, idące ze wschodu ku zachodowi, oraz mniej więcej równoległą falę trzęsienia w Konstancy (powtarzam na odpowiedzialność *Kurjerka*...), połączonego z silnym podziemnym hukiem.

Miła więc perspektywa! Nie dość, że nie mamy już co włożyć do ust, pewnego pięknego poranku gotowiliśmy się znaleźć na bruku, gdy zawałał się domostwa, dające nam dotąd taki bodaj przytułek. Wyobrażam sobie, z jaką lubością pękać i rozpadać się będą zwłaszcza budynki, stawiane w ostatnich czasach, wedle najnowszych wymogów architektury, streszczających się w dwu słowach: tanio i szybko!

Na dobitkę wszystkiego złego, tego nam było jeszcze potrzeba. Wyobrażam sobie, jak na niejednym z Czytelników skóra już teraz cierpienie i taką pozostanie aż do dwudziestego lipca. Na wszelki wypadek należy się przecież ubezpieczyć od wypadku, by bodaj spadkobiercy mieli sobie czem łyzy otrzeć.

Jak zaś trzęsienia ziemi mogą wpływać ujemnie na mózgi ludzkie, tego dowodem artykuł jakiegoś wiedeńskiego „sznuoka“ w piśmie *Rundschau*, zatytułowany „Padam do nóg“, a stojący w związku z obecnym przesileniem gabinetowem.

Czytamy tam:

„Rząd i Kolo polskie rokuja dalej! Moznaby to nazwać raczej przetargiem. Ci szlachetni panowie żądają pieniędzy — naturalnie dla Galicyi i wysokich stanowisk — naturalnie dla siebie. Potem będą znowu kochani i grzeczni i będą popierali politykę rządu. Kochajmy się!... Dyskreca rzeczą honoru, wyznanie, rzecz obojętna, pieniądze — rzecz główna, a bezwstyd — jasny, jak słońce!“

W porównaniu z panami Polakami chwalić sobie można najdzikszych czeskich awanturników. Ci są w swej świńskiej ordynarności przynajmniej szczerzy i nie drwią z nas w żywe oczy. Ale szlachetni szlachcice oczekają miłością, przyjaźnią i rozanieleniem — nie szczędzą „Panie dobrodzieju“ tu i „Panie dobrodzieju“ tam — a przytem golą nas lepiej, jak brzytwą. Padam do nóg“.

Dla dawnego Koła Polskiego nagroda za wysługiwanie się Niemcom może niezbyt miła, ale w każdym razie zasłużona! Czyż Niemcy mogli przewidzieć, że Polacy „ośmielią się“ stanąć im okoniem?... A owemu „szmokowi“, autorowi artykułu, należałoby się honorarium, ale w tym guście, jak miał otrzymać poseł Heine za swój występ w parlamencie, lecz temu przeszkodzono.

*Similis simili gaudet*, co Rusin bardzo trafnie tłumaczy: „Swynia swyni rada!“...

Pan Heine i ów autor znaleźli się, jak w korce maku i powinni sobie dać buzi!

Im bardziej zbliża się chwila przyobiecane go wyodrębnienia Galicyi, tem częściej spotykamy się z dowodami „życziwości“ ze strony Niemców, z czego wnosić należy, że bardzo trudno będzie im przenieść rozłąkę z nami i pożegnać tych, którzy, kontentując się tylko obietnicami, wysługiwali się im na każdym kroku, karmili, sami sobie od ust odejmując, kupowali za wysoką cenę wszelaką taudetę wiedeńską, a w zamian za to wszystko otrzymywali figę i to nie zawsze bardzo słodką!

Widać, że Galicya to nie taki bardzo *passives Land*, jak twierdzili, skoro żał się jej pozbywać, zółte owa bowiem, którą na każdym kroku wylewają, jest tego najlepszym dowodem. Zwłaszcza wiedeńskich „szmoków“ trapi żal na myśl rozłąki z ojczyzną, gdyż w wielkiej części pochodzą z Galicyi, z nad Starej Wisły, i Pełtwi, a nad Dunajem zdobyli tylko dziennikarskie ostrogi i dlatego teraz udają tak radykalnych Niemców!...

